

Konrad Wojtyła, może boże, Instytut Mikołowski, Mikołów 2010, s. 52.

Może boże, książka poetycka Konrada Wojtyły, laureata tegorocznego Wawrzynu Lubuskiego opublikowana przez Instytut Mikołowski w kwietniu 2010 roku, zdążyła już zaistnieć i utrwalić się w krytycznoliterackim obiegu. Na jej temat wypowiadali się nie tylko Edward Balcerzan (autor posłowania) i Piotr Matywiecki (autor rekomendacji na okładce), ale też Magdalena Boczkowska, Piotr Michałowski, Krzysztof Siwczyk, Andrzej Skrendo. A wymieniam nazwiska tych tylko krytyków, do których opinii udało mi się dotrzeć.

Pisano o „poetyckiej fenomenologii umierania” (Skrendo), o „traumatologii śmierci”, o utracie ojca, anihilacji ciała i kresie komunikacji z drugim człowiekiem (Siwczyk), o „obnażającej wszystko, okrutnej idei Boga” (Matywiecki) i odzieraniu (głównie z eschatologicznych) złudzeń. Włączano zawarte tu wiersze w nurt funeralno-elegijny, w tradycję awangardową i postawangardową – z jednej strony, z drugiej – w dziedzictwo metafizycznej poezji, a ściślej metafizyki wyczerpania, jałowienia, wysychania, inspirowanej nietzscheańską ideą śmierci boga.

Poezji tej ponadto przypisano wielu świetnych patronów, zarówno spod znaku metafizyki, jak i awangardy, wskazując związki młodego poety z Beckettem, Różewiczem, Przybosiem, Wojaczkiem (o „Wojaczku zrjonalizowanym Przybosiem” mówił Piotr Michałowski) i Miłobędzką. Podkreślano też, że jego książka nie jest zwykłym tomikiem, ale „poetyckim diariuszem kresu, funeralnym pamiętnikiem” (Siwczyk) i – z drugiej strony – że ciąży ku zamkniętej formie poematu, którego fabuła osnuta jest na doświadczeniu śmierci. Chwalono poetykę, którą cechuje minimalizm środków wyrazu, zasada redukcji i ekonomii słowa, przekształcanie pokładów mowy potocznej, oparcie na językowych grach i conceptach. O „międzysłowiu, w przeblyskach znaczeń, wyłaniających się z nieostentacyjnej metody lingwistycznej” pisał Siwczyk, o „kuszającej wirtuozerii” Matywiecki.

Przypieczętuźmy te wypowiedzi oceną bodaj najdobitniejszą, która wyszła spod pióra Andrzeja Skrendy: „poezja Wojtyły stanowi na mapie poezji współczesnej fenomen odrębny i osobny, cenny i wartościowy, słowem – zastanawiający i dający do myślenia”, pisze badacz.

Wszystko to dużo, bardzo dużo jak na książkę młodego, aczkolwiek mającego na swoim koncie już trzy tomiki (omawiany jest czwartym) poety. I na dobrą sprawę na tych opiniach można by poprzestać, komponując laudację z mozaiki cytatów. Bo co dodać do głosów, które uchwyciły najważniejsze cechy poetyckiego zamysłu, wskazały dominanty tematyczne, trafnie rozpoznały tradycję i literackie konteksty? A jednak w wypadku poety, który urodził się i przez wiele lat mieszkał na Ziemi Lubuskiej, który tu właśnie opublikował większość swoich wierszy i którego tomiki przeszły do historii literatury lubuskiej właściwie bez większego echa, godzi się rzec więcej niżeli natus est Conradus i powitać w autorze może boże nie tylko (do)cenionego w środowisku literackim poetę, ale też laureata Lubuskiego Wawrzynu, która to nagroda należy mu się z kilku przyczyn:

Po pierwsze – za poetyckie przedsięwzięcie, które udatnie mierzy się z (post)metafizycznym problemem: mówienia o śmierci po śmierci Boga i po lekcji pustego nieba Fryderyka Nietzschego. Innymi słowy: za poezję, która wymykając się ilu-zoryczności pierwszego słowa i pierwszej zasady, podtrzymuje ontologiczne pęknięcie między językiem i światem (czego

obrazem „jeż Babel” w rękach bawiących się dzieci) i która niemoc transcendencji („metafizyczną menopauzę” i „boską impotencję”) wyraża za pomocą doskonale sprawnego języka. A dzięki temu odnawia metafizyczny potencjał lingwistycznej poezji.

Po drugie – za sposób operowania figurą ojca, która jako swoiste centrum i kompozycyjne axis mundi wierszy należy do kilku porządków i światów, i pozwala mówić o wielu rzeczach naraz – przede wszystkim o alienacji, rozpadzie i śmierci. Podkreślmy, że odejście ojca to przejście, ale „przejście podziemne”; świat wierszy Wojtyły sytuuje się w sferze liminalnej i to ona tworzy aurę tego tomiku.

Po trzecie – za poezję przysłówków, w której „to” i „coś” wchodzą w semantyczne spięcia oraz w dialog z „der tod” Heideggera, Celana, Różewicza, z „to” Miłosza; za zredukowaną dykcję, będącą wehikułem wycofania podmiotu oraz zawarty w niej semantyczny potencjał; za język, który zatrzymuje na sobie, ale – niczym prześwitującą kotara – nie zasłania, który ustalając osobne trajektorie ciała i duszy, projektuje kanał ich komunikacyjnego spotkania i wiodąc niżej (jak kondukt) uruchamia podskórne, podziemne, rzec tu trzeba, sensory, sugeruje, że gra tocząca się w języku jest także grą o coś.

I po czwarte, ostatnie – które niech będzie jak kropka nad „i” – za... tytuł. Za jego aleatoryczną formułę, która otwiera (boże) i zawiesza (może) metafizyczną perspektywę, która proponując językową zabawę kruszy serio, a równocześnie wciąga język w śmiertelną – i śmiertelnie poważną – grę z... Bogiem – zwodząc, uwodząc, prowokując i intrygując czytelnika.

I – może boże – tyle powodów wystarczy?

* Tekst jest nieco rozbudowaną i zmodyfikowaną wersją laudacji wygłoszonej w lutym 2011 roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze podczas uroczystości wręczania autorowi może boże nagrody Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Małgorzata Mikołajczak